



GABRIELA ZAPOLSKA

---

# Szakale

GABRIELA ZAPOLSKA

MENAŻERIA LUDZKA

## Szakale

Przez dziedziniec zajazdu jak strzała przemknął numerowy, siejąc po drodze świeże deszczulki, które przywiązywał do kluczy.

Wpadł do mieszkania właścicielki i prawie bez tchu zatrzymał się w progu saloniku.

— Spod siedemnastego „sie” powiesiła! — zawołał, łapiąc z wysiłkiem powietrze.

Właścicielka, tłusta, żółta, cała rozlana w swej włóczkowej halce, która wydymała się jej na brzuchu i biodrach, a zapadała pod kolanami, otworzyła szeroko oczy.

— Co to za paskudne gadanie! Po co się miała powiesić, kiedy jeszcze rachunku nie zapłaciła!

Lecz kelner powtarzał uparcie:

— „Sie” powiesiła.

Żydówka cmoknęła niecierpliwie:

— Skąd Marciński wie?

— Widać ją „bez” okno. Ma nogi o deskę oparte!

— Może sobie tylko tak w oknie stoi?

— Ale!... wisi, wisi, jak mi Bóg miły, ot, nogi się jej zgięły w kolanach, a ręce dyndają po bokach. Wedle głowy już dojrzeć nie mogłem, bo bez okiennice wszeteczne ciemności w numerze.

Żydówka pod boki się ujęła i stała chwilę zamyślona.

— Trzeba drzwi otworzyć — podjął znów kelner — może jeszcze dycha.

— Aj! aj! Niech pan Marciński tak sobie nie śpieszy. Po co to głosić takie rzeczy? To interes psuje... Goście się odstraszą.

Żydówka podreptała do sypialni.

Za chwilę wyszła w perkalowym szlafroku, który się jej roztwierał na brzuchu i piersiach. Na perukę zarzuciła wełnianą chustkę.

Przez uchylone drzwi weszła kilkunastoletnia dziewczyna, chuda i czarna, w opiętej bardzo sukience. Włosy miała ściągnięte po chińsku i przepasane żółtą tasiemką.

Podeszła do matki.

— Gdzie mama idziesz?

— Do numerów. Kanapa się zawaliła w piętnastym! Aj, co ja z tym mam!... Ty sobie, Salcia, pograj trochę gamy.

Roztwarzała fortepian, ścierając pył połą szlafroka.

— Nie chcę gamy! — grymasiła Salcia.

— Aj, Salcia! Co z tobą?... Ty gorzej „kaprysujesz” niż te całe numera i wszystkie goście! Graj sobie gamy albo jakie kawałki. Graj głośno, a okna otwórz, niech goście słuchają.

Znów do okien dreptała, lecz kelner jej drogę zastąpił.

— Chodźmy pod siedemnasty!

— Chodźmy!

Na dziedziniec wyszli i okrążyli furę z sianem, która na środku drogi barykadowała. Kilka kur kręciło się pod wozem, dziobiąc w żółtawej, lepkiej cieczy, co cuchnącym węzłem pod kołami się kręciła. Przez otwartą wjazdową bramę widać było szary bruk uliczny i nagle podniesienie się ścian kamienic przeciętych ciemnymi jamami otwartych

---

<sup>1</sup>bez (reg.) — przez. [przypis edytorski]

okien. Z góry płynęło szarawe światło chmurnego dnia letniego, deszcz mżył od świtu, tnąc powietrze cieniuchnymi, podłużnymi nitkami. Pomiędzy kamieniami tworzyły się czarniawe strumyki, które zdawały się zastygać jak ciemne pokręcone robaki.

W środkowym korpusie hotelu, cofniętym w tył, pomalowanym na jasnoróżowy kolor, prawie wszystkie okna były otwarte. Tylko na dole jedno okno miało przymknięte szarobrudne okiennice, krzywe i popaczone. Okiennice te były od wewnątrz śrubą ujęte.

Kelner palcem na okno wskazał:

— O!

Lecz Żydówka wykrzywiła się ze złością.

— Ty, panie Marciński, palcem nie pokazuj! Ty mi policję jeszcze naprowadzisz tym palcem!

Do sionki wchodowej zwróciła się, lecz stanęła nagle jak wryta na widok myszurysa<sup>2</sup> drzemiącego na kločku wśród porozrzucanych wiórów.

— Jojne! Jojne!

Jojne, rudy, mały, pokręcony, z sześcioma palcami u lewej ręki, prawdziwy „rarytas” hotelowy, porwał się na równe nogi.

— *Schlufst du?*<sup>3</sup>

— *Naaa! schlaft i nit!*<sup>4</sup>...

Lecz właścicielka napadła nań, sypiąc gradem obelżywych wyrazów. Leniwiec, próżniak, drogę gościom zawała i nie wie nigdy, co się w numerach dzieje.

Kelner zniecierpliwiony wszedł do sieni.

— Niech pani idzie.

— *Zaraz! zaraz!*

Jojne uciekł, teraz właścicielka przypatrywała się zsypanym w kącie dachówkom, którymi miano kryć oficynę. Nagle z lewego skrzydła zajazdu wypłynęła tryumfalnie *Ostatnia myśl* Webera<sup>5</sup>, kaleczona przez Salcię.

Żydówka chwilę jeszcze słuchała, uśmiechając się radośnie.

— O!

Po czym dopiero z trudnością na trzy wschodki wlaższy, w ciemną szyję sionki zagłębiła się.

Cały zaduch źle utrzymywanych numerów zacieśniał się tu, w tej ciemnej przestrzeni. Podłoga, ściany zdawały się być przesiąknięte wonią potu, brudnej bielizny i piwnicznej wilgoci. W kącie bieleły skorupy rozbitej miski, przed drzwiami numerów porzucono buty, z których jeden w niepewnym świetle płynącym z wysoko umieszczonego okienka miał świeżą zelówkę jasno na czarnym tle podłogi się znaczącą. Cały ten zakąt, w którym nędza, występki, rozpusta, często wykwentne nawet cudzołóstwo odwiedzało w przelocie, całe to schronienie dla smutnych, wydziedziczonych, bezimiennych, czasem jeszcze wilgoć więzienia w swym ubraniu ze sobą wnoszących, koncentrował się głównie w tym pawilonie, w dolnych numerach, gdzie stawali najczęściej ludzie wybladli, wychudli, mówiący cicho, nie domagający się nigdy świeżych prześcieradeł, szuwaksu<sup>6</sup> na buty lub wody do karafki. Jakaś tajemniczość włóczyła się wzdłuż tych ścian rzędem drzwiczek przeciętych, jakiś podejrzaný handel, przywodzący na myśl połączenia potworne, kurcze głodu przed światem tajone, lzy dziewczyny zhańbionej i oczy starca powleczone mgłą rozpusty.

Lecz już kelner stał koło drzwi siedemnastego numeru, dzwoniąc kluczami.

Żydówka doń dopadła.

— Cicho! cicho! Niechaj nie słyszą!

Spojrzała przez dziurkę od klucza, ciemno było zupełnie, wyjęła z peruki szpilkę podwójną i zanurzyła w głębie.

— Nie ma klucza! — wyszeptwała.

Numerowy od pasa kółko odpiął, na którym brzęczały klucze.

<sup>2</sup>*myszurys* (żyd.) — właśc. meszores, sługa. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>*schlufst du?* (niem.) — właśc.: *schlaftst du?*, tj. ty śpisz? [przypis redakcyjny]

<sup>4</sup>*Naaa! schlaft i nit* (zniekształc. niem.) — nie, nie śpię. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>*Weber, Karol Maria von* (1786–1826) — niemiecki kompozytor, twórca wielu oper i koncertów fortepianowych; dyrektor opery w Dreźnie od 1817; zmarł w Londynie, a w 1844 jego zwłoki przeniesiono do Dreznia. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>*szuwaks* (daw.) — czarna pasta do butów. [przypis edytorski]

— Poszukam!

Z wielką wprawą klucz znalazł, w zamek go włożył i dwa razy przekręcił.

Drzwi otwały się skrzypiąc.

\*

Łóżko stało zasłane, nietknięte, wyciągające swe brudnoczerwone fałdy koldry i biały kwadrat poduszki w półcieniu, jaki panował dokoła.

Od okna płynęły jaśniejsze smugi, a przez wycięty otwór w okiennicach padał snop światła, przecinający brutalnie ciasną przestrzeń numeru. Snop ten, biegnąc ukośnie, padał na stół pokryty różową bawełnianą serwetą, na której stała szklanka do połowy wypitej wody, karafka, kawałek sznura ciemnoczerwonego, odpalonego na jednym końcu, i trochę kwiatów sztucznych, pogniecionych i zwiniętych w kłębek. Bliżej okna leżało przewrócone krzeselko, z którego materac wypadł na środek pokoju.

Reszta przedmiotów tonęła pod kątach w cieniu.

I tylko jeszcze piec występował masą ciężką, białą, jak zwierz uspiiony w kącie ciasnej klatki, z paszczą szeroko otwartą, z której jak język czarny wisały na jednej złamanej zawiasie<sup>7</sup> zardzewiałe drzwiczki.

Lecz u okna jakaś czarna, nieruchoma zwieszała się postać, smutna i nędzna. Żle dopasowane okiennice właśnie tam filtrowały szeroką szparą światło. W szparze tej najdokładniej dostrzec można było ciemną głowę kobiety, obramowaną jaśniejszym paskiem światła i dalej korpus zwieszający się ciężko z rękami opuszczonymi i wykręconymi konwulsyjnie ku ciału, z nogami podkurczonymi na desce okna.

Marciński rękę wyciągnął.

— Wisi! O tam, w oknie!

Żydówka oczy zmrużyła.

— Niech no Marciński poczeka! Może to takie udawanie, bo to z... takimi to różnie się trafia. Panno! Panno! Zleż panna z okna!... Zleż zaraz!...

Lecz postać czarna nie drgnęła nawet, wciąż nieruchoma w swej strudze jasnej w ramę ją obejmującej.

Żydówka podsunęła się bliżej.

— Niech Marciński okiennicę jedną uchyli, a ostrożnie, coby z „dworza” widać jej nie było.

Marciński szybko podstaąpił, na okno się wspiał i rękę poza trupa wyciągnął. Okiennice powoli się uchyliły. Szeroka szczyba światła doskonale teraz oblała straszłą, zsiniałą twarz samobójczyni.

Numerowy w pierwszej chwili oczy przymknął, znalazłszy się tak blisko z trupem w ciasnej niszy okna. Powoli jednak powieki podniósł i ręką policzka zmarłej dotknął.

— Jak lód — wyrzekł.

Z okna zeskoczył i stał teraz beczynnie z opuszczonymi rękami, patrząc ciągle w wiszącą.

Nagle Żydówka wybuchnęła:

— A niech ją diabeł porwie! Pięć dni numer trzymała i teraz jeszcze go zapaskudziła! Aj! aj!... kto tu teraz stanie! A policja! A gwałty! A stacja nie zapłacona!

Kelner milczał, jakby zahipnotyzowany widokiem martwej dziewczyny. Była przecież ohydna; cała sina, z oczyma szeroko rozwartymi, prawie czerwonymi od krwi nabiegu, z masą bezkształtną języka, wysuwającego się z jej ust granatowych i spuchniętych. Tylko od tyłu głowy zwieszały się przepyszne, wspaniałe warkocze, czarne i lśniące, na wpół splecione. Jeden z tych warkoczy zsunął się naprzód i wisiał w przestrzeni, a lekko przez wejście na okno numerowego poruszony, chwiał się jak warkocz płaczącej brzozy, z czarnej kolumny spadający.

— To ci włosy — wyrzekł nareszcie.

Lecz Żydówka lamentowała.

— Ny, kto mi teraz zapłaci? Kto? Co ja mam za moje dobre serce, żeby taką włóczęgę

Trup

Skąpiec

<sup>7</sup>zawiasa — dziś popr. w r.m.: zawias. [przypis edytorski]

z końca świata do numeru brać! A młoda jeszcze była, zdrowa, po co jej było taki koniec ze sobą robić? aj! aj!...

Do stołu się zbliżyła.

— Lichtarz mi popsuła, o!... świeca się wtopiła, niech ją choroba ciśnie!...

Na stole stał lichtarz mosiężny, cały zielony, ze stearyną świecy szeroko po brzegach rozlaną. Widocznie samobójczyni pozostawiła na stole płonąca świecę. Przepalony sznur, którego druga połowa posłużyła za śmiertelny stryżek, należał kiedyś do szlafroka lub bluzki. Na blasze przed piecem wały się popalone kawałki listów i papierów.

— Marciński! Co ona jadła? — spytała nagle Żydówka.

— Kawę; co dzień dwie szklanki jej nosiłem!

— I bułki?

— A jakże!...

— Ny, co ja tera pocznę, kto mi za tę kawę zapłaci?

W kącie ciemnym dostrzegła małą skrzynkę.

— Może tam co jest. Niech Marciński posunie!

— Nie wolno ruszać.

— Głupi Marciński jest! Mnie wszystko wolno, bo mnie się należy i ja pierwsza do długu jestem!

Marciński kuferek pod światło przysunął.

\*

A w kufierku tym był cały dramat ciężki i bolesny, cały dramat życia kobiety wykołonej, rzuconej jednym przyspieszonym tętnem krwi w falę życia straszną i nielitościwą.

Dziewczyna ta musiała być statystką w jakimś teatryku, bo jeszcze „krakowianka” brudna i kawałkami glasy<sup>8</sup> naszyta, mieniła się wśród reszty szmat i szmatek. Atlasowe pantofle baletowe, jak dwa opadłe i martwe motyle, różowiły się wśród fałd połatanych koszul. Trochę paciorków brzęczało na dnie kufra, a pomiędzy nimi rozkładał się nagle krawat męski atlasowy, jasny lila z czarną przetartą dziurą od wkładania tombakowych<sup>9</sup> szpilek.

Krawat ten zdradzał wiele, jakąś miłośćkę łatwą do zawiązania w cieniu kulis, w tym bezustannym zbliżeniu mężczyzn i kobiet, w tym kodeksie moralności przenieconym i ułatwiającym nie uprawnione związki. Krawat ten był tani, podszyty perkalem, kupiony z wystawy ubogiego sklepu na jakiejś oddalonej uliczce. Mężczyzna, który go nosił, był biednym i był bez wątpienia aktorem, bo na atlasowym węźle świeciły się żółtaworóżowo plamy szminki. Był trywialny i niewybredny w swych gustach, dowodził tego kolor krawatu, a brutalny i pełen namiętności, gdyż tkanina cała porwana była gwałtownie wyszarpywaną szpilką.

Lecz Żydówka, mrużąc gniewnie, zanurzyła dalej rękę. Z powodzi licznych szmat wydostała kilka fartuchów płóciennych, dużych, ordynarnymi nićmi widocznie na wsi uszytych. Na jednym z nich wisiała jeszcze gałązka uczepionego chmielu, zeschnięta i szerniała. Inny miał na sobie kilka uczepionych bodiaków<sup>10</sup>. Nagle coś zaszumiało. Z jednej kieszonki wysypało się trochę pośladu<sup>11</sup> dla kur. Widocznie dziewczyna, zerwawszy z życiem teatralnym, przyjęła służbę w jakimś wiejskim domu. Lecz niedługo tam była, może dowiedziano się, że dawniej „pokazywała komedię” i wypędzono ją od razu. Tak często bywa. Panie ze wsi nie lubią aktorek...

Jeszcze kilka par pończoch sztucznie pocerowanych wyrzuciła z kufierka Żydówka, jakiś stanik ciemnogrnatowy, przerobiony pod szyję, ze śladami huzarskich galonów na plecach i na piersiach, wreszcie waporyzator<sup>12</sup> rozbity, z pękniętą gumą i zerwaną siatką, obrazek Matki Boskiej oprawny w blaszane ramki, kłębuszek włóczki z zaczętą szydełkową rozetką, patelkę całą czarną i spaloną od ognia, wreszcie pustą, wytluszczoną portmonetkę. To było wszystko, lecz z tych smutnych gałganów trup cały odżywał i opowiadał

Strój

<sup>8</sup>glasa (fr.) — tkanina bawełniana, błyszcząca z jednej strony, z drugiej matowa. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>tombak — stop miedzi z cynkiem, imitujący złoto. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>bodiak (reg.) — oset. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>poślad — ziarno gorszej jakości, używane jako pasza. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>waporyzator (z łac.) — rozpylacz do perfum. [przypis edytorski]

gorzkie dzieje kobiecej doli. Dziewczyna ta żyła widocznie z jednym ze swych kolegów, była pracowitą i oszczędną. Pełniła przy mężczyźnie obowiązki kucharki i posługaczki.

Miała jeszcze trochę wiary, którą musiano wpoić w nią w domu. Była nerwową i lubiła denerwować się sztucznymi zapachami. Miała grunt najuczciwszy i starała się po rozstaniu ze swym kochankiem wywalczyć sobie jakieś stanowisko wśród ludzi. Pracowała i musiała czuć się bardzo szczęśliwą. Wypędzona, wpadła w nędzę i rozpacz bezdenną. Głód, opuszczenie, smutek pchnęły ją w otchłań zwątpienia, które kończy jedynie... śmierć.

Młoda, lecz z ciałem zniszczonym nędzą i przedwczesną miłością — nie umiała iść dalej.

Wśród nocy, w zaduchu i ohydzie żydowskiego zajazdu postanowiła skończyć to, co się nazywało życiem.

Przepaliła sznur, bo przeciąć go czym nie miała, i bez lzy, bez żalu, z ustami nerwowo zaciśniętymi założyła go sobie na szyję.

Ostatnie wrażenie<sup>13</sup>, jakie ze sobą w dal ciemną uniosła, był żółty, drgający płomień dogasającej na środku izby świecy.

\*

Żydówka kopnęła nogą kuferek.

— Ani gałgana nawet wybrać! Tęgo nawet handlarz za dwa grosze nie zechce!...

Powstała powoli i do trupa się zbliżyła, oglądając zniszczoną sukienkę, w jaką dziewczyna była ubrana.

— Może w kieszeni co ma?

Rękę wyciągnęła, ale prędko cofnęła ją i poza plecy ukryła.

— Niech Marciński zobaczy.

— Nie wolno!

— Głupi Marciński jest... jak się co znajdzie, to i Marcińskiemu się dostanie za usługę.

Przecież Marciński na piwo nic nie dostał.

Kelner pokręcił głową.

— Ano racja jest, zobaczę!

Do kieszeni trupa sięgnął, lecz pustą była prawie zupełnie. Trup się zakołysał. Żydówka z rękami założonymi na brzuchu przyglądała się niecierpliwie.

— A nie „stłuknij” ją, Marciński.

— Wisi mocno! niech się pani nie stracha!

Oswajali się powoli z tym trupem smutnym i stygącym w zaduchu źle utrzymanej izby.

— Nie ma nic?

— Nie... ino blaszany naparstek.

Żydówka znów zaklęła.

— Daj pan Marciński naparstek! Salcia swój zgubiła, nie potrzeba kupić.

Nagle zamilkła i bliżej do okna postąpiła.

Trup, kołysząc się, odsłonił nogi.

Nowe, porządne buciki, zapięte na guziczki, ukazały się oczom właścicielki hotelu.

— Niech pan Marciński zlezie!

Lecz Marciński dotykał wiszącego warkocza i mlaskał językiem.

— Aj! aj! Co za włosy!

— Marciński musi zleźć!...

Kelner warkocz z żalem z ręki wypuścił.

— Niech pan Marciński pójdzie cicho do mojego mieszkania i przyniesie duże nożyce.

Trzeba ją oderżnąć, może jeszcze żyje, to się ją potrze!

Kelner spojrzął w oczy Żydówki.

Przez kilka chwil mierzyli się wzrokiem, a oboje mieli w źrenicach jakieś płowe, migocące światelka.

Wreszcie kelner ku wyjściu się skierował i skrzypiąc drzwiami, znikł w głębi sieni.

<sup>13</sup>ostatnie wrażenie — dziś popr.: ostatnim wrażeniem. [przypis edytorski]

Żydówka, pozostawszy sama, obejrzała się kilkakrotnie, po czym, wyciągnawszy jak najdalej ręce, na palcach do trupa podeszła i szybko guziki bucików rozpinać poczęła. Nos jej się zwęził ze strachu, usta zgięły się w półkole. Na czoło pot wystąpił. Ona, sapiąc, przechylona, ciągnęła dalej swą pracę, zdzierając ze zmarłej obuwie, szarpiąc trupa, nie czując prawie chłodu nóg zeszywniałych, które, pozbawione osłony, zabielały nagle jasną barwą szarych, pocerowanych ciemną bawełną pończoch.

Dokonawszy swego dzieła, właścicielka cofnęła się szybko, otworzyła drzwi i z siłą cisnęła daleko w głąb korytarza buciki. Stuknęły o podłogę, jak uderzenie młotka o wieko trumny. Czas jednak był wielki. Marciński powracał, kryjąc pod połami kurtki duże nożyce.

Żydówka pot z czoła otarła.

— Panna Salcia gra?

— Panna się bije z kucharką!

Weszli znów do numeru i teraz już sam Marciński podszedł do okna.

— Niech się pani nie zbliża, ja ją sam obetnę.

Wlaził na okno, posunął trupa i zasłonił sobą prawie całą postać zmarłej.

Żydówka, o drzwi oparta, nie patrzyła, cała zajęta myślą, czy buciki samobójczyni będą dobre na nogi jej córki.

Tymczasem nożyczki zgrzytnęły. Z cichym chrzęstem obsunął się wzdłuż pleców trupa obcięty warkocz. Marciński zwinął go zręcznie i schował do kieszeni kurtki.

I znów niby chrzęst — i głowa dziewczyny ukazała się teraz ostatecznie zeszepecona, z krótką nierówną linią rozsypujących się na karku włosów.

Lecz Marciński ku drzwiom się zwrócił.

— Lepiej nie ruszać, policja się wda i będzie kram, że my ją poruszyli. Jaką naszli, taką zostawmy!

Żydówka skinęła głową.

— Ma Marciński „słusznie”! Teraz musi iść po strażnika! Aj, aj!... Jakie to zmartwienie!...

Kelner z okna zeskoczył i ku drzwiom podążył.

Wyszli oboje na korytarz i Marciński zaczął dobierać klucze.

Żydówka, buciki niewidocznie podniósłszy, za chustkę ukryła.

— Czego Marciński ją zamyka? — zapytała, kierując się do wyjścia.

— Prawda! — odrzekł kelner — przecież nie ucieknie!

I roześmieli się oboje.

Skąpiec

---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/menazeria-ludzka-szakale>

Tekst opracowany na podstawie: Gabriela Zapolska, *Nowele*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1958.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Pauliny Choromańskiej. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Paulina Choromańska, Paweł Kozioł, Wojciech Kotwica.

Okładka na podstawie: [miandadr@Flickr](mailto:miandadr@Flickr), CC BY 2.0

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.